

Hans Christian Andersen

Szyjka od butelki

W ciasnym, krętym zaułku, wśród mnóstwa nędznych domostw stał dom bardzo wąski i bardzo wysoki z pruskiego muru, który rozsypywał się ze wszystkich stron. Mieszkali w nim ubodzy ludzie, zaś najbiedniej wyglądało poddasze, gdzie przed małym okienkiem wisiała w słońcu stara, pogięta klatka, w której nie było nawet przyzwoitej miseczki dla ptaszków, tylko stała wywrócona szyjka od butelki zamknięta z dołu korkiem i napełniona wodą. W otwartym oknie widać było starą pannę; przystroiła właśnie klatkę zielenią, wśród której uwijała się mała makolągwa i śpiewała, aż się rozlegało.

"Tak, tak, ty możesz śpiewać! - powiedziała szyjka od butelki; nie powiedziała tego wprawdzie tak, jak my mówimy, gdyż szyjka od butelki nie umie mówić, ale pomyślała to sobie w duszy w ten sposób, jak my, ludzie, myślimy. - Tak, ty możesz śpiewać! Jesteś cała, ale spróbowałabyś tak jak ja stracić dolną połowę ciała i mieć tylko szyjkę i usta, do tego zatkałe korkiem: wtedy byś na pewno nie śpiewała. Ale dobrze przynajmniej, że ktoś jest szczęśliwy. Ja nie mam powodów do śpiewania i zresztą wcale nie potrafiłabym. Umiałam śpiewać wtedy, kiedy byłam całą butelką i gdy mnie pocierano korkiem; nazywano mnie wówczas skowronkiem, prawdziwym skowronkiem. Było to wtedy, kiedy byłam ze starymi futrzarzami na majówce w lesie, a córka ich zaręczyła się; pamiętam wszystko tak, jakby to było wczoraj. Tak, gdy sięgnę myślą wstecz, widzę, jak wiele przeżyłam. Byłam w ogniu i w wodzie, nisko w głębi czarnej ziemi i wysoko, wyżej od innych, a teraz wiszę w tej klatce na powietrzu i w słońcu; warto by było posłuchać moich dziejów, ale nie mówię o tym głośno, bo nie mogę."

I szyjka od butelki opowiedziała sobie, a raczej rozpamiętywała w sobie wszystko, co przeżyła, a była to historia osobliwa; mały ptaszek śpiewał wesoło swoją piosenkę, w dole na ulicy ludzie szli i jechali, każdy rozmyślał o swoich sprawach albo nie myślał wcale; ale szyjka od butelki rozmyślała.

Przypomniała sobie płonący piec hutniczy w fabryce, gdzie wydmuchiowano ją do życia; przypomniała sobie, jak zajrzała, jeszcze gorąca, do syczącego pieca, skąd wyszła, i miała wielką ochotę wskoczyć tam z powrotem, dopiero stopniowo, w miarę jak stygła, poczuła się dobrze tam, gdzie stała w jednym szeregu z całym pułkiem braci i sióstr; wszystkie pochodziły z tego samego pieca, ale jedne wydmuchiowano na butelki do szampana, a inne na butelki do piwa, a to przecie różnica. Później w świecie można wprawdzie napełnić butelkę od piwa najwyborniejszym winem: "Lacrimae Christi", zaś w butelce od szampana umieścić czernidło, ale po zewnętrznym kształcie można zawsze poznać, do czego się było przeznaczonym. Szlachcic to szlachcic, nawet z czernidłem w brzuchu.

Wszystkie butelki zostały zapakowane i nasza butelka również wtedy nie myślała o tym, że skończy swój żywot jako szyjka od butelki i że zaawansuje aż do stanowiska miseczki dla ptaków, bądź co bądź, uczciwa to pozycja, przynajmniej jest się czymś. Ujrzała dopiero na nowo światło dzienne, kiedy ją z innymi towarzyszkami wypakowano w piwnicy winiarza i po raz pierwszy opłukano. Było to dziwne uczucie. Leżała teraz pusta i bez korka, odczuwała dziwną czczość, czuła, że jej czegoś brak, ale nie wiedziała dobrze czego. Potem napełniono ją dobrym, doskonałym winem, wsadzono korek i zalakowano. Nalepiono na niej etykietkę z napisem: "pierwszy gatunek", było to tak, jakby dostała najlepszy stopień na egzaminie, ale wino było naprawdę dobre i butelka dobra. Kiedy jest się młodym, jest się lirycznym. Śpiewało też w niej i dźwięczało coś, czego nie znała: zielone, słońcem oświetlone góry, pokryte winnicami, gdzie żwawi chłopcy i wesołe dziewczęta śpiewają chętnie i całują się; tak, życie jest piękne! Wszystko to śpiewało i grało w butelce jak w młodych poetach, którzy często sami nie wiedzą, co w nich śpiewa.

Pewnego dnia butelkę kupiono. Chłopiec od futrzarza miał polecenie kupienia butelki wina w najlepszym gatunku. Postawiono ją w koszu, obok szynki, sera i kielbasy; było tam też wyborowe masło i najdelikatniejszy chleb; córka futrzarza sama wszystko ułożyła; była bardzo młoda i bardzo ładna, ciemne jej oczy śmiały się, a na ustach igrał uśmiech, który mówił tyleż co oczy, miała delikatne miękkie ręce - bardzo białe, a szyja jej i piersi były jeszcze bielsze: od razu widać, że jest jedną z najpiękniejszych dziewcząt w mieście, a nie była dotychczas zaręczona.

Kosz z prowiantami trzymała na kolanach, kiedy rodzina futrzarza jechała do lasu; szyjka od butelki wyglądała spośród rogów białej serwetki: korek okryty czerwonym lakiem patrzył dziewczynie prosto w twarz; widział także młodego marynarza, który siedział obok niej; był to jej przyjaciel z lat dziecińczych, syn portrecisty; niedawno złożył gładko i z powodzeniem egzamin na szturmanta i nazajutrz miał odjechać na statku do obcych krajów; mówiono o tym dużo podczas pakowania kosza, a kiedy o tym mówiono, w oczach i wokoło ust pięknej córki futrzarza niewiele było wesołości.

Dwoje młodych ludzi poszło w głąb zielonego lasu i rozmawiało - o czym rozmawiali? Tego butelka nie słyszała, stała przecież w koszu z prowiantami. Trwało to niezwykle długo, zanim ją wyjęto, ale kiedy to wreszcie nastąpiło, zrobiło się wesoło, wszystkie oczy śmiały się, córka futrzarza śmiała się również, ale mówiła mniej i policzki jej pały jak dwie czerwone róże.

Ojciec ujął w ręce pełną butelkę i korkociąg. Tak, dziwne to uczucie być po raz pierwszy odkorkowaną! Szyjka od butelki nigdy potem nie mogła zapomnieć tej uroczystej chwili; Zachłysnęła się przecież mocno, kiedy wyciągano korek, a potem porządnie w niej zbulgotało, kiedy wino polało się w kieliszki.

- Niech żyją narzeczeni! - powiedział ojciec, i wszystkie kieliszki wychylono do dna, a młody szturman pocałował swą piękną narzeczoną.

- Szczęść Boże! - zawołali rodzice. A młody człowiek napełnił jeszcze raz kieliszki.

- Szczęśliwego powrotu i wesela równo za rok! - zawołał, a kiedy opróżniono kieliszki, chwycił butelkę, podniósł ją wysoko w górę i krzyknął: - Byłaś przy uczcie w najpiękniejszym dniu mego życia, nie będziesz już nikomu innemu służyła!

I rzucił ją wysoko w górę. Córka futrzarza ani pomyślała, że częściej będzie widywała tę butelkę fruującą w powietrzu, a jednak tak miało być. Butelka upadła w gąszcz trzciny, nad jeziorkiem; szyjka od butelki pamiętała dobrze, jak tam leżała i rozmyślała: "Dałam im wino, a oni dają mi wodę z bagna, ale to nieumyślnie!" Nie mogła już patrzeć na narzeczonych i na uszczęśliwionych rodziców, ale słyszała jeszcze długo, jak wiwatowali i śpiewali. Potem przyszli dwaj chłopcy wiejscy, zajrzeli w sitowie, zobaczyli butelkę i zabrali ją; teraz znów miała opiekę.

Leśniczówkę, w której mieszkali chłopcy, odwiedził wczoraj ich najstarszy brat, marynarz; przyszedł się pożegnać, bo wyruszał w daleką podróż; matka pakowała właśnie to i owo dla syna, a ojciec miał zabrać paczkę wieczorem do miasta, gdyż chciał tam jeszcze raz zobaczyć syna przed odjazdem i uściskać go od siebie i matki.

Mała butelka nalewki stała już gotowa, gdy zjawili się chłopcy z większą, mocniejszą butelką, którą znaleźli; w takiej butelce mogło się zmieścić więcej wódki niż w małej butelce, a była to nalewka doskonała na cierpienia żołądkowe. W nalewce było dużo mięty. A więc nie napełniono butelki czerwonym winem jak przedtem, ale gorzką żołądkową. Nowa butelka, a nie ta mała, poszła w drogę; zaczęła się jej wędrówka: dostała się na pokład do Piotra Jensena, a był to właśnie ten sam okręt, na którym jechał młody szturman, ale ten nie widział butelki, nie byłby jej zresztą z pewnością poznał i nie pomyślałby: "To jest ta sama butelka, z której niedawno piliśmy z okazji moich zaręczyn i za pomyślny powrót do domu."

Nie było już wprawdzie w niej wina, ale za to coś równie dobrego; toteż za każdym razem, kiedy Piotr Jensen wyciągał butelkę, nazywali go towarzysze "aptekarzem"; obdarzała ich bowiem najskuteczniejszym na bóle żołądkowe lekarstwem, które pomagało zawsze, do ostatniej kropli! Były to dobre czasy i butelka śpiewała, gdy ją pocierano korkiem; wówczas to nazywano ją wielkim skowronkiem, "skowronkiem Piotra Jensena".

Dużo czasu minęło; butelka stała pusta w kącie, aż raz - butelka nie pamiętała dokładnie, czy to było, gdy jechała tam, czy z powrotem, bo przecież i tak na ląd nie wychodziła - nadeszła wielka burza, ogromne bałwany podnosiły się, ciemne i groźne, chwiały i rzucały okręt, maszt został strzaskany, fala zdruzgotała pomost, pompy przestały działać. Była ciemna noc, okręt szedł na dno, ale w ostatniej chwili młody szturman napisał na kartce papieru: "Na litość boską! Toniemy!" I napisał nazwisko swojej narzeczonej,

swoje własne i nazwę okrętu, wpakował tę kartkę do pustej butelki, zatkał ją mocno korkiem i wyrzucił butelkę w szalejące morze; nie wiedział, że to była ta sama butelka, z której pito jego i jego narzeczonej zdrowie z życzeniami radości i nadziei; teraz kołysała się na falach niosąc śmiertelne pozdrowienie.

Okręt utonął, załoga utonęła, tylko butelka popłynęła jak ptak; miała przecież w sobie serce, list miłosny. Widywała teraz wschody i zachody słońca, przypominały jej pierwsze wrażenia życia: czerwony, płonący piec. Ogarniała ją znowu tęsknota, aby do niego wrócić. Przetrwiała ciszę morską i nowe burze; nie rozbiła się o żadną rafę i nie połknął jej żaden rekin; dni i lata błąkała się tu i tam, to na północ, to na południe - jak ją niosły prądy. Była zresztą wolna, ale taka wolność może się w końcu sprzykrzyć.

Zapisana kartka, ostatnie pozdrowienie narzeczonego dla narzeczonej, trafiwszy wreszcie w odpowiednie ręce, przyniosłaby tylko rozpacz: ale gdzie są ręce, które lśniły taką białością wtedy, gdy rozścielały obrus na świeżej trawie w zielonym lesie, w dniu zaręczyn? Gdzie była córka futrzarza? Tak, gdzie był tamten kraj i jaki kraj jest najbliżej? Butelka tego nie wiedziała. Niosło ją i niosło, aż w końcu znudziło jej się to błąkanie po wodach - nie na to przecież była przeznaczona. Mimo to tułała się jeszcze tak długo, aż w końcu dobiła do lądu, do obcego lądu. Nie rozumiała ani słowa z tego, co tu mówiono, to nie była mowa, którą słyszała dawniej, a przecież dużo się traci nie znając języka.

Butelkę wyłowiono i zbadano: kartkę, która w niej tkwiła, wyjęto, obejrzano, obracano na wszystkie strony, ale nikt nie rozumiał tego, co było na niej napisane. Zrozumiano, że butelkę wyrzucono za burtę okrętu i że o tym jest mowa w kartce, ale co ta kartka zawierała, było tajemnicą. Wetknięto więc kartkę na nowo do butelki i wstawiono ją do wielkiej szafy w wielkim pokoju wielkiego domu.

Ile razy przychodzili tam cudzoziemcy, wyjmowano kartkę, obracano ją na wszystkie strony, tak że słowa, skreślone ołówkiem, zacierały się i stawały się coraz bardziej nieczytelne; w końcu nie można już było poznać, że znajdowały się tam niegdyś litery. Butelka stała tak jeszcze przez jeden rok w szafie, a potem postawiono ją na strychu, gdzie pokrył ją kurz i pajęczyna. Myślała wtedy znowu o dawnych, dobrych czasach, kiedy to rozlewała czerwone wino w świeżym lesie i kiedy to kołysała się na morskich falach, niosąc w sercu tajemnicę - list z pożegnalnym westchnieniem.

I tak stała przez dwadzieścia lat na strychu, mogłaby tak stać jeszcze dłużej, gdyby dom nie miał być przebudowany. Zerwano więc dach - spostrzeżono butelkę i mówiono coś o niej, ale ona nie rozumiała tego, co mówiono. Obcego języka nie można się nauczyć stojąc na strychu, nawet przez dwadzieścia lat. "Gdybym stała na dole, w pokoju - pomyślała butelka - nauczyłabym się na pewno!"

Teraz butelkę umyto i wypłukano; było to jej koniecznie potrzebne; czuła się jasno i przezroczyście, czuła się znów

młoda jak za dawnych czasów - ale kartka, którą dotąd miała w sobie, zgubiła się przy myciu.

Potem napełniono ją jakimś nasieniem, którego dotąd nie znała, zakorkowano i owinięto; nie widziała znowu światła latarni ani świec, ani słońca, ani księżyca, a coś powinno się widzieć przecie, kiedy się podróżuje, ale nie widziała nic, czyniła jednak to, co było najważniejsze - podróżowała, dotarła tam, gdzie należało, i została rozpakowana.

- Ileż kłopotu musieli mieć za granicą z tą butelką - mówiono - a mimo to pewnie się stłukła! - Ale nie była stłuczona. Butelka rozumiała każdziutkie słowo, bo była to przecież mowa, którą słyszała w piecu hutniczym i u handlarza win, w lesie i na okręcie, jedynie prawdziwa, dobra, stara mowa, którą można było zrozumieć. Oto wróciła więc do swej ojczyzny i usłyszała powitanie. Z radości o mało nie wyskoczyła ludziom z rąk i nie zauważyła wcale, jak wyciągnięto z niej korek; wysypano z niej wszystko i zanieśiono do piwnicy. Miała tam być schowana i zapomniana; ale w ojczyźnie jest przecieź najlepiej, nawet w piwnicy. Nie przyszło jej do głowy, aby zastanawiać się nad tym, jak długo tam przeleżała, a leżała spokojnie przez długie lata. Potem jednego dnia przyszli ludzie wybrać z piwnicy butelki - i naszą butelkę wzięto także.

Na dworze w ogrodzie odbywała się wielka zabawa. Wisiały girlandy płonących lamp, papierowe latarnie jaśniały jak wielkie, przeświecające tulipany; był to wspaniały wieczór, cichy i przezroczysty; gwiazdy lśniły tak jasno i był nów, a właściwie widziało się cały księżyc jako szaroniebieską kulę ze złotym rąbkiem. Widok był ładny dla tych, co umieli patrzeć.

W odległych alejach ogrodu urządzono także iluminację, w każdym razie dostateczną, aby rozproszyć ciemności. Między krzewami ustawiono butelki z zapalonymi świecami i tam właśnie stała nasza butelka, która kiedyś stać się miała szyjką, miseczką dla ptaka. Butelce wydawało się wszystko w owej chwili niezmiernie piękne, była znów otoczona zielenią, zabawą, wesołością, słyszała muzykę i śpiew, szum i gwar wielu ludzi, dochodzący głównie z tej części ogrodu, gdzie paliły się lampy i papierowe lampiony jaśniały różnymi barwami. Ona sama stała wprawdzie w oddalonej alei, ale to właśnie miało pewien urok. Butelka stała szerząc światło, stała dla pożytku i przyjemności innych i to dawało jej zadowolenie; w takiej chwili zapomina się o tych dwudziestu latach na strychu - a czasem dobrze jest zapomnieć.

Tuż obok niej przechodziła - trzymając się za ręce - samotna para - jak niegdyś w lesie owi narzeczeni - szturman z córką futrzarza: butelce zdawało się, że przeżywa wszystko jeszcze raz na nowo. Po ogrodzie przechadzali się goście. Chodzili tam również ludzie, którzy chcieli obejrzeć gości i wszystkie wspaniałe rzeczy; a między nimi chodziła też stara panna, która nie miała tu żadnych krewnych, chociaż nie była pozbawiona przyjaciół. Myślała ona zupełnie o tym samym, o czym myślała butelka: o zielonym lesie i o młodej parze naręczonych, obchodziło ją to bardzo blisko, bo ona to właśnie była połową tamtej pary: przeżyła wtedy

najszczęśliwszą chwilę swego życia, a takich chwil nie zapomina się nigdy - nawet gdy się jest już tak starą panną. Ale nie poznała butelki i butelka także jej nie poznała; często przechodzi się tak obok siebie na świecie - aż do chwili, gdy się drogi na nowo skrzyżują. Zdarzyło się to właśnie starej pannie i butelce, gdy obie spotkały się znowu w tym samym mieście.

Butelka powędrowała z ogrodu do handlarza win, napełniono ją znów winem i sprzedano lotnikowi, który miał lecieć balonem następnej niedzieli. Zebrał się tłum ludzi, aby się temu przyjrzeć, stawiała się także Orkiestra wojskowa i poczyniono wiele przygotowań; butelka wszystko to widziała z kosza, gdzie leżała wraz z żywym królikiem, który był bardzo przygnębiony czując, że ma się wznieść ponad ziemię, aby potem spaść na spadochronie. Butelka nie wiedziała, co to jest "wznieść" i "spaść", widziała tylko, jak balon wydymał się coraz bardziej, a gdy nie mógł już widocznie stać się większy, zaczął wznosić się coraz to wyżej i wyżej, chybcząc się coraz bardziej; liny, które go trzymały, nagle przecięto i balon bujał wraz z pilotem, koszem, butelką i królikiem w powietrzu. Muzyka zabrzmiała i wszyscy obecni krzyknęli: "Hura!"

"Jakie to śmieszne wznosić się do góry! - pomyślała butelka - to jakiś nowy sposób żeglugi: na górze przecież nie ma po czym chodzić!"

Tysiące ludzi śledziło balon wzrokiem i stara panna spoglądała za nim również: stała ona przy otwartym okienku na poddaszu, tam gdzie wisiała klatka z makolągwą, która wtedy nie miała jeszcze miseczki i musiała się zadowolić filiżanką. W otwartym okienku stał mirt w doniczce, którą odsunięto nieco na bok, aby nie wypadła, podczas gdy stara panna wychylając się oknem obserwowała balon; widziała wyraźnie w balonie lotnika, który spuścił spadochron z królikiem, a potem pił za zdrowie wszystkich ludzi i wreszcie rzucił butelkę wysoko w powietrze. Stara panna nie domyślała się tego, że niegdyś w radosny dzień swego życia widziała tę samą butelkę, rzuconą w górę dla uczczenia jej i jej narzeczonego w zielonym lesie w czasach młodości.

Butelka nie miała czasu o tym pomyśleć, tak nieoczekiwanie i nagle znalazła się w szczytowym punkcie swego życia. Wieże i dachy leżały nisko w dole, a ludzie wydawali się maleńcy.

A teraz spadała na dół, i to ze znacznie większą szybkością niż królik: butelka wywracała koziółki w powietrzu, czuła się młoda, upojona radością, była jeszcze do połowy napełniona winem, ale nie na długo. Co za podróż! Słońce świeciło nad butelką, wszyscy ludzie patrzyli na nią, balon już znikł z oczu, ale wkrótce i butelka przepadła. Uderzyła o jeden z dachów i rozbiła się na kawałki, te kawałki jednak miały jeszcze tyle rozpędu, że nie mogły uleżeć, skakały i toczyły się, dopóki, rozbite na jeszcze drobniejsze kawałki, nie znalazły się na podwórzu; tylko szyjka została cała, tak jakby ją diamentem obcięto.

- Nadałaby się świetnie na miseczkę dla ptaka - powiedzieli mieszkańcy sutereny; ale nie mieli ani ptaka, ani klatki, a trudno było wymagać, by sobie sprawili jedno i

drugie tylko dlatego, że znaleźli teraz szyjkę od butelki, która nadawała się świetnie na miseczkę dla ptaka. Na poddaszu mogła się przydać i dlatego szyjka powędrowała do starej panny, która zaopatrzyła ją w korek i odwróciła tak, że mogła służyć za miseczkę; nalała do niej świeżej wody i powiesiła w klatce ptaszka, który śpiewał, aż się rozlegało.

"Tak, ty możesz sobie śpiewać" - mówiła w duchu szyjka od butelki; była przecież osobliwością, bo podróżowała balonem. A więcej już się z nią nic nie działo. Wisiała teraz jako miseczka do wody, słyszała głosy ludzi, którzy krzatali się i gwarzyli na ulicy; słyszała głosy w izdebce starej panny; właśnie ktoś do niej przyszedł, przyjaciółka w równym z nią wieku - mówiły zaś nie o butelce, lecz o doniczce z mirtem stojącym na oknie.

- Szkoda naprawdę wydać dwa talary na bukiet ślubny dla twojej córki - mówiła stara panna - dostaniesz ode mnie prześliczną wiązanekę z samych kwiatów! Patrz, jak się to drzewko wspaniale rozrosło. Przyjęło się niegdyś z gałązki tej samej mirty, którą mi ofiarowałeś na drugi dzień po moich zaręczynach; miałam sobie z niej po roku zrobić ślubny bukiet, ale ten dzień nie nadszedł nigdy. Zamknęły się oczy, które miały mi w tym życiu świecić radością i szczęściem. Na dnie morza śpi spokojnie, anielską był duszą! Mirt się zestarzał, a ja jeszcze bardziej, a kiedy drzewo kończyło swój żywot, odcięłam ostatnią świeżą gałązkę, wsadziłam ją do ziemi, gałązka wyrosła dziś na takie duże drzewko i mirt doczekał się wreszcie uroczystości weselnej, zostanie bukietem ślubnym twojej córki!

Łzy stanęły w oczach starej panny; mówiła o przyjacielu młodości, o zaręczynach w lesie; pomyślała o wiwatach wznoszonych przy kieliszku i o pierwszym pocałunku - ale o tym nie mówiła, była przecież starą panną. O tylu rzeczach myślała, tylko nie domyślała się wcale, że właśnie tuż pod jej oknem wisiała jeszcze jedna pamiątka owych czasów - szyjka od butelki, która zachłysnęła się, gdy korek z hukiem wyskoczył w powietrze. A szyjka od butelki również jej nie poznała, pomimo że mogła wysłuchać całego opowiadania, nie słuchała słów starej panny. Myślała tylko o sobie.